

Polowanie w Nieświeżu. Juljan Fałat.

WOBEC NOWYCH WARUNKOW.

Wydanie nowego prawa łowieckiego stworzyło zupełnie nowe warunki dalszego rozwoju łowiectwa, do których świat łowiecki musi się dostosować i które też należycie wyzyskać jest obowiązany. Byłoby także źle, aby dalszych planów, według których stosunki łowieckie mają się rozwijać na przyszłość, nie tworzył i dalszej pracy nad naprawą tych stosunków zaniedbał. Aby jednak móc dalej żyć i tego, cośmy zdobyli, nie uronić, musimy sobie wyraźnie powiedzieć, że nowe prawo łowieckie i wogóle wszelkie zdobycze, jakieśmy dotychczas osiągnęli, zawdzięczamy przedewszystkiem zwartemu, jednolitemu i zdecydowanemu stanowisku całego świata łowieckiego, zjednoczonego w Centralnym Związku, wobec wszelkich zagadnień z łowiectwem związanych. W jedności siła! Jak może wobec żadnych innych zagadnień Rząd w sprawach łowieckich spotkał się z jednolitą opinją świata łowieckiego i to właśnie umożliwiło mu wydanie nowego prawa. Kto bliżej dotykał się tych spraw i wie, jak wyglądają wyniki różnych ankiet podejmowanych przez Rząd w celu zasięgnięcia opinji czynników interesowanych, ten doskonale zdaje sobie sprawę, jak trudno w naszych stosunkach wydać zarządzenie, któreby spotkało się z powszechnem zadowoleniem i istotnie w pożyteczny sposób załatwiało sprawę. Winę niezadawalających stosunków w różnych dziedzinach niewątpliwie w znacznym stopniu ponosi społeczeństwo, które w wielu ważnych kwestjach nie potrafi stworzyć zwartej i zdecydowanej opinji publicznej. Nie można też nie zdawać sobie sprawy, że istnienie takiej zwartej i zdecydowanej opinji publicznej w ważnych kwestjach to najlepsza broń przeciwko demagogji i duchowi robienia różnych nieprzemyślanych, a przeważnie szkodliwych eksperymentów.

Zdając sobie doskonale sprawę z tego wszystkiego, musimy sobie jasno powiedzieć, że najważniejszem zadaniem, tak jak i dotychczas, jest należyte zorganizowanie się świata łowieckiego oraz stworzenie i podtrzymywanie jednolitego stanowiska we wszystkich sprawach, które go dotyczą. Niestety, musimy sobie, mimo wszystkich dotychczasowych sukcesów, wyraźnie powiedzieć, że na tem polu dalecy jeszcze jesteśmy od doskonałości. Mimo istnienia od kilku lat Centralnego Związku i istnienia instytucji członków popierających, zbyt wielu jeszcze wciąż mamy myśliwych „dzikich", nienależących w żadnym charakterze do Centralnego Związku i wogóle nieodczuwających i nierozumiejących potrzeby zrzeszania się i organizowania świata łowieckiego. Szeroki nasz ogół myśliwski stanowi wciąż jeszcze bierną i bezczynną masę, umiejącą tylko narzekać na złe ustawy i istniejące stosunki, ale niechcącą nic dać z siebie i niczem się przyczynić do zmiany tego, co jest niepożądane. Jedyną zaletą tej masy, zresztą niebędącą jej świadomą zasługą, jest to, że tym, co chcą coś robić, przynajmniej nie przeszkadza. W tych warunkach większość poczynań Centralnego Związku, któreby na szerszą skalę były zamierzone, rozbija się o brak funduszów i dostatecznego poparcia szerokich mas myśliwskich. Jedyne przedsięwzięcie dotychczasowe Centralnego Związku — wydawanie „Łowca Polskiego" — egzystencję swoją zawdzięcza pracy i wysiłkom ludzi zgrupowanych przy tem wydawnictwie, oraz materjalnemu poparciu tej znikomej wciąż, w stosunku do ogólnej liczby myśliwych w Polsce, ilości prenumeratorów, dzięki którym może ono istnieć. Natomiast Centralny Związek grosza dotychczas nie wydał na „Łowca Polskiego", i, powiedzmy to otwarcie, przy dotychczasowem poparciu finansowem szerokich mas myśliwskich nie mógłby tego uczynić.

Ten stan rzeczy musi się zmienić! Nie może szeroki ogół myśliwski wysługiwać się pracą i wysiłkami nielicznej grupy ludzi! Centralny Związek, aby mógł istotnie podołać swoim zadaniom, musi mieć do swej dyspozycji dostateczne fundusze, a także dostateczną ilość odpowiednich ludzi w swoim zarządzie i pośród swoich delegatów. Jedno i drugie szeroki ogół myśliwski musi dać. Nie naprawimy stosunków łowieckich, jeśli na blisko 280 starostw i okręgów miejskich, nie znajdziemy, licząc

mniej więcej po 4 na starostwo, około 1200 myśliwych godnych piastowania stanowiska Delegata Centralnego Związku. Zadania przed Delegatami są duże, i od tego, jak się oni z nich wywiążą, szczególniej w najbliższym okresie, bardzo dużo zależy. Powinni oni okazać wydajną pomoc władzom powiatowym przy tworzeniu rewirów łowieckich, przy wskazaniu osób godnych otrzymania kart łowieckich, a także okazać im skuteczną pomoc przy zwalczaniu kłusownictwa i nielegalnego handlu zwierzyną. Aby tym zadaniom podołać, winni oni mieć skuteczne poparcie ze strony wszystkich prawidłowych myśliwych swego powiatu. Dalej, dotychczasowe stosunki, o czem, niestety, najlepiej wiemy, wytworzyły takie warunki, że zwierzostany w wielu okręgach spadły znacznie niżej dopuszczalnej normy, w sposób taki, że grozi w nich całkowite wyniszczenie zwierzyny, o ile to ostatnie już faktycznie nie nastąpiło. Będzie więc Pan Minister Rolnictwa, aby umożliwić doprowadzenie zwierzostanów w takich okręgach do właściwej normy, musiał wydać zarządzenia co do zamknięcia na nich polowań, wogóle, lub na pewne rodzaje zwierzyny, w myśl art. 51 prawa łowieckiego. Aby jednak zarządzenia Pana Ministra Rolnictwa w tym kierunku były celowe, muszą one być oparte na właściwych danych o zwierzostanach w poszczególnych obwodach. Niema chyba potrzeby mówić, że obowiązek dostarczenia takich danych ciąży przedewszystkiem na Centralnym Związku i jego Delegatach. Zebranie takich danych dla władz administracyjnych jest naogół niemożliwe z braku fachowego personelu. Rozumie się też, że władze w tych kwestjach nie mogą stać wobec rozbieżnych stanowisk interesowanych kół myśliwskich poszczególnych obwodów i że Delegat jest odpowiedzialny za to, żeby wnioski w tej sprawie, jeśli są potrzebne, były złożone, a także żeby były dobrze przemyślane, tak, by władze miały właściwy materjał do wydania potrzebnych zarządzeń. I ta więc dziedzina stanowi nader ważne pole działalności Delegatów powiatowych i Centralnego Związku.

Nikt lepiej od delegatów Centralnego Związku nie powinien też widzieć niedomówień obecnie obowiązującego prawa łowieckiego, które, jak każde dzieło ludzkie, niewątpliwie je posiada i z biegiem czasu, będzie wymagało uzupełnień. Będą więc p. p. Delegaci musieli pilnie obserwować sposób, w jaki obecne prawo łowieckie wchodzi w życie, a wszystkie jego braki pilnie notować i komunikować Centralnemu Związkowi, aby, gdy nadejdzie moment uzupełnienia tego prawa, Centralny Związek wszystkie potrzebne wnioski mógł mieć przygotowane.

Na zabieganiu jednak wobec władz i wnioskach co do wydania nowych ustaw i zarządzeń nie może się ograniczyć działalność Centralnego Związku. Niewątpliwie nadejdzie chwila, jeśli w znacznej mierze już nie nastąpiła, że stworzymy potrzebną dla spraw łowieckich atmosferę prawną i że zabieganie wobec władz coraz mniej będzie potrzebnem. Winien więc Centralny Związek rozwinąć swoją działalność również w innych kierunkach. Powstają nowe instytucje i stowarzyszenia, jak np. Polski Instytut Łowiecki, Towarzystwo Hodowli psów myśliwskich, zachodzi potrzeba urządzania różnych wystaw, pokazów oraz wogóle podejmowania różnych przedsięwzięć, rozwój łowiectwa mających na celu, co wszystko będzie potrzebowało od Centralnego Związku wydatnej pomocy, przedewszystkiem finansowej. Winienby również Centralny Związek podjąć działalność wydawniczą w celu przysporzenia polskiej literaturze oryginalnych lub też tłomaczonych dzieł z różnych dziedzin z zakresu łowiectwa i wypełniania istniejących w tym względzie luk. Wreszcie instytucja taka, jak Centralny Związek, winna pomyśleć o tem, aby kiedyś mieć własną, urządzoną stosownie do jego potrzeb siedzibę, a nie mieścić się w wynajmowanych lokalach lub, jak obecnie, udzielonych uprzejmie przez jedno z towarzystw do niego należących. Świat łowiecki musi pomyśleć, jak znaleźć środki na zaspokojenie tych wszystkich potrzeb, a obecny Zjazd, w związku ze zmianami statutu Centralnego Związku, winien baczną uwagę tym sprawom udzielić. Pole do zbiorowej działalności w dziedzinie łowiectwa jest wciąż u nas olbrzymie. W takich np. Niemczech, gdzie potrzebę wspólnej działalności doskonale rozumieją, na trzysta tysięcy niemieckich myśliwych dwieście pięćdziesiąt tysięcy jest zorganizowanych w instytucji analogicznej do naszego Centralnego Związku, a sto tysięcy prenumeruje pisma łowieckie. — A u nas?

WALENTY WŁODZIMIERZ GARCZYŃSKI.

POLOWANIE NA KACZORY W... ŁODZI PODWODNEJ.

Nigdy nie zapomnę grozy tego wiosennego wieczoru w sercu Puszczy Białowieżkiej na wezbranej rzece Leśnej, do której wpada kręta i pełna wód Perewołoka... Choć zdarzyło się to wszystko, co dziś opowiem, już przeszło przed miesiącem, dziś dopiero mogę o tem spokojnie mówić i spokojnie pisać. Spokojnie myśleć długo jeszcze nie będę mógł...

Cały dzień mieliśmy przed sobą: wieczorem słonki na Królewskim Moście, nocą — odjazd ku głuszcowym tokowiskom, na Hubar. Cóż było robić z dniem? Postanowiliśmy spróbować „kaczego" szczęścia i postrzelać z podrywu do pięknych kaczorów, zamieszkujących bujny szuwar leśnej rzeki.

O, gdyby wtedy jakaś „nimfa smętna", jak mówi Słowacki, mogła powiedzieć nam, co nas czeka, niewątpliwie zrezygnowalibyśmy z niewczesnych zapędów i pozostali w gościnnej nadleśniczówce Królewskiej. Nimfa jednak nic nie powiedziała, a my pojechaliśmy. We czterech. Pozamną w „spacerze" tym brał udział obecny komendant Warszawy, pułkownik Jur Gorzechowski, miejscowy leśniczy, p. Kwapiszewski oraz nasz przewoźnik Petia...

Wszystko odbywało się normalnie, t. j. kaczorów nie widzieliśmy wcale, zimno było straszliwe, pod wieczór brać począł przymrozek, pierzchnęła resztka nadziei zapolowania na słonki i co chwila traciliśmy właściwe koryto rozlanej rzeki, grzęznąc po mieliznach... Gęsta mgła unosiła się nad Leśną...

Nagle przewoźnik nasz krzyknął przeraźliwie „Toniem" i łódź w jednej chwili znalazła się pod wodą... Kto nigdy nie tonął w ciemnościach, ten nie wie, co to jest groza... Mieliśmy na sobie grube kożuchy, broń, torby pełne ładunków, a pozatem brezentowe buty, które nabrawszy w swe wnętrze wody, ciągnęły nas do dna...

Miejsce było głębokie, o zgruntowaniu nie mogło być mowy, o pływaniu w ciężkim kożuchu, który przesiąkać począł wodą — również. Jakim cudem wszyscy czterej znaleźliśmy się na kępie śród rzeki — nie wiem. Wiem natomiast, że byliśmy przemoczeni i przemarznięci do szpiku kości.

Ocalenie z głębiny rzecznej, w którą nas porwać usiłował wir, nie kończyło naszych nieszczęść. Tragedja poczynała się dopiero teraz. Zziębnięci i ociekający wodą, byliśmy skazani na spędzenie całej długiej nocy na wilgotnej kępie w beznadziejnem oczekiwaniu na pomoc, która nie mogła nadejść. Od całego świata odcinała nas wezbrana i przepastna rzeka, tocząca po ciemku swoje groźne wody...

Mróz był nielada. Zamarzła wilgotna kępa. Zmarzły nam ręce i nogi i całe ciało, do którego przylegało przemarznięte, mokre ubranie... Niemal żałowaliśmy wyratowania z wody, cierpiąc straszliwie od zimna, które nas poczynało kąsać boleśnie...

Przewoźnik ruszał kilkakrotnie, usiłując znaleźć bród przez rzekę, wracał jednak niezwłocznie, natknąwszy się znowu na jakąś głębinę.

Poczęliśmy żałośnie rozmyślać o naszym losie i o nieudanem polowaniu. W tej chwili gajowi wrócili już zapewne z głuszcowych „zapadów". Z gromkiem uderzeniem skrzydeł siadły koguty na so-

Okazało się, iż parę ładunków „Pocisku" mimo przemoczenia, nie zdekalibrowało się. Strzeliłem więc kilka razy — wzywając w ten sposób ratunku. Strzał przewalił się dalekiem echem po rzece... Nie usłyszeliśmy jednak odpowiedzi...

Pułkownik Gorzechowski począł strzelać z rewolweru. Ale i to nie odniosło skutku...

Noc wlokła się bezlitośnie długa, okrutna w swojej beznadziejności, minuta po minucie, sekunda po sekundzie...

Przewoźnik nasz opowiadać począł o duchach, które tu straszą i nękają ludzi... Upiorny księżyc wypłynął nad ciemną rzekę i złem okiem na nas spoglądał... Iskry tryskały z ogniska, spadając złotym deszczem w wodę... Gdzieś w głębi puszczy hukał polujący puhacz, gdzieś w oczeretach odzywały się kląskania kurek wodnych, miarowe i monotonne...

Aż nadeszła chwila przedświtu — najzimniejsza... Chwila, w której tam gdzieś w borze grać



W puszczy. Fot. Jan Bończa Markowski.

snach tokowiska, na odwiecznych swoich gałęziach, skąd pieśnią miłosną budzą o poranku wiosenną puszczę... Czy dużo ich zapadało dzisiejszego wieczoru? Jakie wieści przynieśli gajowi do nadleśniczówki — w której nie było myśliwych? Czy nas będą szukać? To niemożebne! na olbrzymich rozlewiskach — w dalekości 12 klm. — niktby nas po nocy nie mógł znaleźć i niktby nas nie chciał szukać... Sądzą zapewne, żeśmy zbłądzili i powrócimy do domu spóźnieni...

Cud jakiś uchronił nas od zamarznięcia w tę przeklętą noc, która trwała jak wieczność, bolesna i straszliwa... Wódki nie mieliśmy przy sobie ani kropli. Chłopak pod czapką znalazł zapałki — nieprzemoczone... Na kępie rzecznej wymacaliśmy w ciemnościach trochę niezamokłego chrustu, który służył za podkład jakiejś kopicy siana... Dzięki tym dwum szczęśliwym okolicznościom udało się nam rozpalić ogień...

Powitaliśmy ten ogień z całą dziką radością pierwotnego człowieka, dla którego ognisko było bóstwem, dającem światło i ciepło... Światło ognia w mrokach złej nocy podniosło nas od razu na duchu.

poczynają zasadzone dla nas głuszce... Na uroczysku Hubar — na mszarze czarodziejsko pięknym — rozlega się owa pieśń, której zew wyrwał nas ze złego miasta, i kazał nam dążyć do serca knieci po rozkoszne przygody łowieckie... A teraz słychać cietrzewie bełkoty i śmigły, ostry lot kaczek i bębnienie bekasa gdzieś pod obłokami — ale pieśń króla puszczy rozbrzmiewa nie dla nas. Siedzimy zmoknięci, zziębnięci, odcięci od całego świata na kępie śród wartkiej i głębokiej rzeki, bez łodzi, bez nadziei szybkiego ratunku, daleko od nadleśniczówki, daleko od ludzi, daleko od zasadzonego dla nas głuszca...

*

O godzinie 10 rano ujrzeliśmy dym — pierwszy znak szukającej nas „odsieczy". Trąbieniem na lufach obwieściliśmy miejsce swego pobytu... Ale „odsiecz" nie posiadała czółna i przez błotne rozlewiska przybyć na nasz ratunek nie mogła. Musieliśmy się ratować sami...

JULJAN EJSMOND.

POLOWANIE Z ŁAJKĄ.

(Wspomnienie z ziemi Wiackiej).

Zbliżała się jesień. Chciało mi się popróbować polowania z łajką na głuszce, o którem mnie wiele opowiadano, a którego właściwie nie znałem. O nabycie dobrej łajki, oszczekującej ptactwo, a nie uganiającej się za wiewiórkami, było bardzo trudno, ale dowiedziałem się o istnieniu dwuch takich psów, żaden jednak z ich właścicieli nie chciał łajki odprzedać. Z wielkim trudem namówiłem w końcu jednego, by mi pożyczył psa na parę tygodni. Mądre to było zwierzę, ale też i strasznie dzikie. Pomimo że je sam karmiłem, musiałem stracić kilka dni czasu, zanim przyzwyczaiłem do siebie i mogłem je nie na uwięzi brać ze sobą.

Udałem się do ulubionej leśniczówki poczciwego staruszka nadgajowego. Była druga połowa września. Już legło na lasach melancholijne piętno jesieni. Śród zieleni świerków przeglądały wyzłocone brzozy, czerwieniące się purpurą osiki, zbronzowiały paprocie, a suchy, opadły liść szeleścił pod nogą.

Pierwszego rana zamierzałem zapolować z cieniami na cietrzewie. O półtora kilometra od leśniczówki był duży wyręb z pozostawionemi na nim w środku kilkoma brzozami, na których często widywałem siedzące ptaki. To też na tych drzewach chciałem umieścić bałwany. Gdy powiedziałem o tem nadgajowemu, staruszek odradził. Właśnie na drugi dzień miał polecone znaczenie obok położonej, przyszłej poręby, czem niewątpliwie zepsułby mi polowanie. Pozostało od rana wyjść z łajką. Lecz jakież było moje zmartwienie, gdy wieczorem opowiedział mi nadgajowy, na co się natknął na owej polanie!

Idąc trybą, usłyszał już o kilkaset kroków przed sobą często powtarzający się trzask, którego przyczyny nie mógł zrozumieć. Zaciekawiony zaczął ostrożnie się zbliżać i gdy wyszedł na ową porębę, przedstawił mu się niezwykły widok: dwa olbrzymie łopaciarze walczyły ze sobą. Nachyliwszy nisko łby, uderzały rosochami i wzajemnie się pchały, a tak były zacietrzewione tą walką, że dały się podejść o trzydzieści kroków, i dopiero, gdy nadgajowy uderzył toporem o drzewo, zaprzestały śmiertelnych zapasów i uniosły ukoronowane głowy.

Zakończył poczciwina swe opowiadanie: „I nadałoż mnie licho odradzić panu pójścia z cieniami — toż byłoby polowanie!" Tak, pomyślałem, niewątpliwie, to byłoby polowanie — dublet do walczących rogali! Ale na to trzeba mieć ów „lut szczęścia", a nie takiego, jak mój, pecha do łosi.

Polowanie z łajką w mało znanych mi lasach połączone z zupełną samotnością miało dla mnie osobliwy urok. Z mapą leśnego kompleksu i kompasem wychodziłem o świcie, a wracałem późno wieczorem. By nie nosić ze sobą żywnościowych produktów, uprosiłem nadgajowego, by za pierwszym razem poszedł ze mną i zaniósł do środka ostępów konserwy i imbryk. Ukryliśmy to wszystko u brzegu rzeki w końcu tryby, czyli w miejscu, do którego łatwo było mi trafić, i pozostawiliśmy tam na przeciąg mego polowania. Miałem w ten sposób zapewnione śniadanie bez uciążliwego dźwigania tych wszystkich zapasów.

Pierwszy dzień został uwieńczony pomyślnym skutkiem. Zaraz na wstępie zastrzeliłem parę jarząbków, a niedługo starego głuszca. Spędziła go łajka z ziemi w jodłowym lesie, słyszałem, jak kogut się zrywał i zapadł na drzewie. Po chwili dźwięczne oszczekiwanie oznajmiło, że pies wykrył ptaka. Korzystając z każdego przykrycia, podchodziłem ostrożnie; spostrzegłszy łajkę, wypatrzyłem głuszca siedzącego spokojnie na czubku wysokiej jodły, skąd, jak piorunem rażony, spadł po strzale. Niedługo usłyszałem znów, przywołujący mnie z głębi lasu, głos poczciwego pieska. Zbliżywszy się z przygotowaną strzelbą do ewentualnego strzału w lot, oglądałem dookoła wszystkie drzewa, ale daremnie. Wtem z kępy świerczyny zerwały się razem dwa głuszce. Jednego zdążyłem zastrzelić, a do drugiego chybiłem; w chwili gdy podnosiłem młodego koguta, zerwały się jeszcze dwie sztuki i uszły bez strzału. A więc całe stadko, spłoszone z ziemi przez psa, zapadło w pobliżu siebie. Nie przypuszczając, by głuszce siadały na małych świerkach, szukałem ich na



Wiosenny rozkład. Fot. H. Knothe.

wierzchołkach i na starych drzewach, co też było powodem przeoczenia ptaków, a zarazem i pierwszą lekcją dla mnie w tem polowaniu.

O ile nie męczyło mnie noszenie jednego głuszca i kilku jarząbków, to dźwiganie dwu dużych ptaków było zbyt uciążliwem i krępującem w ruchach. Doniosłem więc je do pierwszego kwartalnego słupa i zanotowawszy wypisane na nim cyfry, powiesiłem na niedużej jodełce i przykryłem łapkami. W powrotnej drodze zastrzeliłem jeszcze jednego młodego głuszca i kilka jarząbków.

Wróciwszy do domu, opowiedziałem staruszkowi o pozostawionej w lesie zwierzynie; wysłuchawszy uważnie numeracji ostępów, zaofiarował się poczciwina wyruszyć zrana i przynieść mą zdobycz.

Następnego dnia upłynął ranek bez strzału. Prześladowało mię niepowodzenie, ale oczekiwała zato miła niespodzianka przy śniadaniu. Siedząc przy rozpalonem ognisku i czekając na zagotowanie się wody w imbryku, usłyszałem pluskanie w rzece. Obejrzałem się: po drugiej stronie, o półtorasta kroków ode mnie brnęła klępa z łoszakiem. Szły na ukos w moją stronę. W przypuszczeniu, że może ukaże się za nimi i rogal, pochwyciłem strzelbę i założyłem kulowe ładunki. Były same. Dochodząc do środka rzeki i natrafiwszy na głębokie miejsce, poczęły płynąć. Pierwszy to raz w życiu widziałem płynące łosie i podziwiałem ich swobodne ruchy w wodzie. Posuwały się bardzo prędko, wyszły o kilkadziesiąt kroków ode mnie, otrząsły się i powoli zaczęły się wdrapywać na nadzwyczaj stromy i wysoki brzeg. Wielce mi tem zaimponowały, nigdybym nie przypuszczał, że łoś jest w stanie przechodzić po tak spadzistej powierzchni, a czyniły to przytem z taką łatwością, że nie mogłem nawet zauważyć w ich ruchach najmniejszego wysiłku.

BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.



Zamyślona klępa. (Nadl. Autz na Łotwie).

Wspomnienie z tegorocznych tokowisk łotewskich.

Co mnie w moich myśliwskich włóczęgach zagnało aż na Łotwę? Po pierwsze wieść o sławnych tokach głuszcowych, a po drugie poczciwe zaproszenie zacnych i życzliwych ludzi, których rodzaj na szczęście niezupełnie jeszcze po wojnie wyginął.

Po dwukrotnej zmianie terminu wyjazdu, wywołanej kaprysami tegorocznej wiosny, wyruszyłem z Warszawy w drogę nocą 25-go kwietnia r. b. Tę pierwszą noc przekiwałem się w bezwzględnie niepożądanem towarzystwie czterech innych jeszcze osób, rozmyślając smętnie, ale zato gruntownie nad tem, dlaczego ze wszystkich dyrekcyj kolejowych tylko wileńska posiada tak przedziwną kolekcję antycznych typów wagonowych, dlaczego tuż obok idzie bezcelowo pusty zupełnie, ale to zupełnie wóz I i II klasy z kabalistycznym napisem „dla posłów" i dlaczego wogóle jadę pierwszą klasą, skoro w tych warunkach zupełnie z takiem samem powodzeniem mógłbym jechać trzecią. Na wszystkie te kwestje nie udało mi się, niestety, aż do Zemgale znaleźć rozwiązania. Na stacji w Zemgale miałem spotkać się z mym zacnym gospodarzem.

Krótkie powitanie, wymiana nowin rodzinno-myśliwskich, nieokreślona zupa, sznycel wiedeński w interpretacji zemgalskiej, dopuszczającej zawiłą dyskusję pro, a zwłaszcza contra, i po godzinie Dynaburg, względnie Dźwińsk, względnie Daugawpils, gościnny dom konsula polskiego, błyskawiczne przebranie się i wyjazd na pierwszą wyprawę. Na początek miały pójść cietrzewie.

Mały wózeczek gajowego powiózł nas wolno ze stacji we trójkę w lasy ozłocone zachodzącem słońcem. Na samym wstępie przywitał nas z wysokości smukłej brzózki dorodny cieciernk, jakby kpiąc z zapakowanych strzelb. Jeden z naszej trójki spływa zgrabnie z wózeczka na ziemię wraz z futerałem i czołga się do najbliższego pnia, my zaś bez przerwy posuwamy się dalej, zwracając na siebie uwagę cietrzewia. Dwie pary oczu z wózka śledzą z rozweseleniem gorączkowe ruchy towarzysza, starającego się pokonać zwyczajne w tych wypadkach trudności założenia i naładowania strzelby. Tymczasem nasz kogut z wdziękiem rozamorowanego kawalera zlatuje na jeszcze bliż-

szą brzózkę, sadowiąc się nie dalej niż na czterdzieści kroków od naszego towarzysza. Wózek stawia horoskopy: kto będzie przebieglejszy, kogut czy myśliwy, i jaki będzie efekt ewentualnego strzału. Co do pierwszej kwestji, wyłaniały się pewne wątpliwości. Co do drugiej zaś, panowała na wózku zupełna harmonja zapatrywań, niestety na korzyść koguta, jakkolwiek przeciwnik jego niebylejakim był myśliwym i strzelcem. Takie to czasem złośliwe fluidy panują w powietrzu. Wreszcie strzał rozdarł ciszę leśną. Zacny i kochany towarzyszu, możeby lepiej było w tem miejscu kropkę postawić?

Pod wieczór zatrzymaliśmy się opodal gajówki, by spróbować ciągu słonek. Niewiele ciągnęło. Ja usłyszałem trzy chrapnięcia, las usłyszał trzy strzały i na tem, niestety, koniec. Ale bo to tak: jedna za daleko, druga niespodzianie tuż nad samą głową, trzecia, Bóg wie dlaczego, nie spadła. Uważam osobiście rzecz za zupełnie wyjaśnioną i zastrzegam się przed wysuwaniem innych wniosków i uwag. Towarzysze moi nie zdobyli trofeów więcej odemnie.

Miejscowa ludność twierdziła, że na słonki jeszcze było zawcześnie.

Około dziesiątej wieczorem dojechaliśmy do Iłukszty, ciągle lasami, bardzo w tej okolicy przez wojnę zniszczonymi. Czterogodzinny wypoczynek na leśniczówce u miłych i gościnnych pp. Sieviersów i o wpół do trzeciej (według naszego zegara o wpół do drugiej) rozjazd do budek. Moje tokowisko, odległe o jakie sześć kilometrów, okazało się suchem, piaszczystem wrzosowiskiem. Budka była wyśmienita, w ziemię na pół metra wpuszczona tak, że i klęczeć i siedzieć i leżeć było można zupełnie wygodnie. Ledwie gajowy odszedł i oczy do budki przywykły, rozległo się wokoło budki zaciekłe „czauszszsz" jakich piętnastu kogutów i łopot i bicie skrzydłami i harce; rzekłbyś istny sabbat małych duszków leśnych. O szóstej zrana wygramoliłem się z budy i podniosłem dwa strzelone koguty, z których jeden odznaczał się niezwykle piękną lirą i ślicznem szafirowem upierzeniem. Z reszty towarzystwa zdobył, jak się potem okazało, nasz gospodarz również dwie liry, a leśniczy sprzątnął jednego, podszedłszy go na czworakach. Ciekawe jednak, że mimo stosunkowo tak późnej pory i mimo wyjątkowo korzystnej dla toków pogody, las, który w tym czasie nasycony jest odgłosem toków odbywających się po wszystkich polankach nierzadko do dziesiątej zrana, był milczący, a przecież na brak kogutów Iłukszta skarżyć się nie może. Nadmienić muszę, że toki w tej okolicy uważane są za najlepsze w całej Łotwie.

W dobrych humorach i w niezmiennie cudną pogodę wróciliśmy do Dynaburga i zgłosiwszy telefonicznie w Departamencie Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa w Rydze chęć nadprogramowego zapolowania jeszcze tej nocy na głuszce w okolicach Rygi, pożegnaliśmy o piątej po południu sympatyczny dom p. konsula Świerzbińskiego, unosząc z tej gościny bardzo miłe wrażenie. Do Rygi przywieziono nas śpiąco koło dziesiątej wieczorem. W Rydze trzygodzinny odpoczynek, a jak zwykle w wypadkach takich bywa, obficie zakropiony, doskonały posiłek, i o pierwszej w nocy wyjazd autem do leśnictwa Inczykaln, odległego o jakie 60 klm. Tu wypadnie mi uczynić pewną dygresję, by czytelnika zorjentować nieco w łotewskiej organizacji łowiectwa. Wszystkie lasy Łotwy (to bodaj najcenniejsze jej dobro, a poważny nasz konkurent) są upaństwowione. Centralny zarząd ich spoczywa w Departamencie Leśnictwa ministerswa rolnictwa, a duszą jego błogosławioną jest dyrektor p. K. Melders, człowiek młody, pełen inicjatywy i żelaznej energji wybitny fachowiec, oddający całą swą niepospolitą wiedzę i całe serce pracy około postawienia tego działu gospodarki państwowej na najwyższym poziomie. Niektóre okręgi polowań są wydzierżawione osobom prywatnym i towarzystwom myśliwskim, na całej zaś olbrzymiej reszcie terenów dzierży zarząd łowiecki w swem ręku Departament Leśnictwa (czytaj dyr. Melders) i on udziela zezwoleń na polowanie. Gospodarka i rygor łowiecki stoją bardzo wysoko, ten ostatni idzie nawet tak daleko, że np. za strzał śrutem do głuszca na odległość większą niż normalna, przewidziana jest kara pieniężna. Personel leśny doskonale wykwalifikowany*), porządnie umundurowany, karny i chętny, kontrola i administracja znakomicie ułatwiona przez połączenie każdej gajówki z leśnictwem i Rygą siecią telefoniczną. Ilość podlegającej odstrzałowi zwierzyny ściśle określona i, co ważniejsza, przestrzegana. Nic przeto dziwnego, że pod takiem okiem i w tych warunkach zwierzostan Łotwy z roku na rok wzrasta i niebawem już stanowić będzie w gospodarstwie społecznem poważną cyfrę. Zwłaszcza na wzmiankę zasługuje stan głuszców, sarn i zajęcy; jeleni też sporo, a łosi przez wojnę prawie doszczętnie wyniszczonych, dochował się p. Melders już dwadzieścia. Oczywiście w parze z taką gospodarką idzie tępienie szkodników, nie wyłączając ludzkich.

Drogę do Inczykaln połknął nasz Cadilac błyskawicznie, dzięki doskonałej szosie w trzech czwartych całej przestrzeni. Tu miałem sposobność choć pobieżnie przekonać się o stopniu zagospodarowania lasów. Olbrzymi masyw przeważnie starego lasu świerkowego i sosnowego, porżnięty licznemi linjami opatrzonemi w tablice orjentacyjne, wszędzie na strumieniach i kanałach odwadniających, dobre, wytrzymałe mostki, — bez dziur i spróchniałych belek. W pewnym punkcie drogi reflektory trafiły na postać oczekującego nas gajowego. Był to przewodnik mego towarzysza. Oznajmił, że zasadził trzy koguty. I pomyśleć, że nie dalej jak dopiero o piątej popołudniu telefonowaliśmy z Dynaburga do Rygi! Na mego przewodnika trafiłem o pięć kilometrów dalej. Okazało się, że dzięki uprzejmości p. Meldersa, przeznaczono dla mnie, jako nowicjusza w polowaniu na głuszce, starszego rangą leśnika, znanego specjalistę głuszcowego. Bardzo przyzwoicie i kulturalnie przywitał mnie i oznajmił, że wypadnie nam iść jeszcze około cztery kilometry pieszo. Zatem w drogę ścieżkami i na przełaj. W pobliżu tokowiska zaczął mój gajus strzydz uszyma i po chwili ruchem ręki kazał mi iść za sobą. Nie słysząc sam niczego jeszcze, rozpocząłem mój pierwszy podchód głuszca. Po pewnej ilości dziwacznych dla mnie, bo niezrozumiałych podskoków, w ciągu których nadstawiałem uszy, aby wydobyć z tej gmatwaniny szmerów nocnych choć coś podobnego do opisywanego grania, wyłowiłem wreszcie jakieś ciche stukanie. To musiał być On. Nigdy nie wyobrażałem sobie, by tak duża bestia tak cicho tokowała, i miałem o to słuszny żal. W pewnym momencie przewodnik mój jakby zmartwiał, w czem go skwapliwie zmałpowałem, bo już trochę rozgryzłem misterjum podchodu i wpatrzyłem się w wyciągniętą rękę leśnika: pokazywał mi coś, szepcąc: „Gospodin -- eto głuchar". Zaczęła się teraz dla mnie prawdziwa tortura. Mrok w lesie jeszcze głęboki,

---

*) Obecnie opracowuje się pod redakcją i przy wybitnym współudziale p. Meldersa bardzo wyczerpujący podręcznik dla personelu leśnego, zakrojony na dwanaście tomów. Miałem w ręku już czwarty tom tego dzieła i przyznać muszę, że tak sposób opracowania przedmiotu, jak i wykonania technicznego, zadziwił mnie. Był to tom traktujący o myślistwie. Wydawnictwa tego nie powstydziłoby się żadne państwo.

przed nami rzadka, dość wysoka sośninka, z miejsca, niedaleko, dochodzi pieśń po pieśni, kierunek znam, i nic; oczy niczego dojrzeć nie mogą, mimo że przylepiają się do każdej gałęzi, do każdej kiści szpilek. Szelma gajowy widzi go, pokazuje mi ptaka kierunkiem lufy, szepcąc, że niedalej jak trzydzieści kroków; i nic, nic, nic. Zaczyna mnie ogarniać zniecierpliwienie i pasja na siebie i na leśnika; mam wrażenie, że kogut musi być nieco dalej niż zapowiedziane „trydcat' szagow". Decyduję się przeto na samodzielny krok ku przerażeniu mego cicerone leśnego, uprzedzonego zdaje się o tem, że to mój pierwszy głuszec. Z mego nowego miejsca taż sama tragedja, nic nie wydaje mi się do głuszca podobnem. Z rozpaczy gotów byłem oddać mą strzelbę gajowemu; jeżeli bestja widzi naprawdę, niech strzela. Zaczął się jednak w duchu monolog: cóż znowu, stary byku, tyle lat nawłóczyłeś się po lasach, tyle zwierza podchodziłeś i miałbyś się tu poszkapić wobec gajusa? A wstyd; przepatrz jeszcze raz gałęzie. Zaczynam znowu wpijać się wzrokiem w sosny, ryzykuję jeszcze jeden krok, któremu zaraz odpowiedział szept „gospodin, płocho", widzę jeszcze mniej, wracam na dawną stronę i, o cudzie, dostrzegam jakąś plamę w odległości jakich czterdziestu kroków w miejscu, gdzie normalnie być nie powinna. Głuszec, czy kiść? hamletowsko brzmiało we mnie to pytanie, i przeprowadzam w myśli błyskawiczny rachunek prawdopodobieństwa. Tu wachlarz, tu grzbiet, tu szyja być powinna — no dobrze, ale może to kiść sosnowa? Dlaczego nie, proszę, przecież ta obok plama tak samo wygląda — tak, ale ta druga jest na końcu gałęzi, a ta moja u nasady — chyba głuszec, a może to kiść jakiejś tylnej gałęzi? Niech się ruszy, czekajmy. Na złość jednak nic się nie ruszyło, a czas nagli i nerwy wypowiadają posłuszeństwo. Nie, to chyba głuszec, 80 na 100, że głuszec. Niech się dzieje co chce, ja dłużej nie wytrzymam; św. Hubercie, łaski! — Podnoszę broń do ramienia, mierzę, strzelam i... co powiesz czytelniku? to był naprawdę głuszec! Świat mi się dziwnie jasnym zrobił i jakaś błogość serce przepełniła, gdym widział, jak moja plama oderwała się od gałęzi i z głuchym łoskotem padła w głęboki mech. Pierwszy głuszec! Wierzajcie, że duża była we mnie chęć ujrzenia zbliska mego łupu i nogom jakby skrzydła wyrosły, a przecież, nim dobiegłem do koguta, leśnik już był przy nim i ze śmiejącą się twarzą podnosił go: „Gaspadin wot głuchar', krasiwyj, staryj, vecis mednis; toż ja nie dumał czto z was takoj choroszyj ochotnik... choroszo, choroszo". Niewiele mnie rozczulały te peany rosyjsko-łotewskie, bo zadowolenie własne było jeszcze silniejsze; zupełnie dobrze zrozumiałem wtedy postępek zeszłoroczny pewnego myśliwego, francuza, o którym mi przedtem opowiedziano, jako o humoresce autentycznej. Oto myśliwy ten, nie ubiwszy przedtem, mimo podeszłego wieku, nigdy głuszca i dostawszy go wreszcie, hodaj w tem samem leśnictwie co ja, rzucił strzelbę, padł gajowemu na szyję, począł go wycałowywać i wyściskiwać, tańcząc z nim i z głuszcem po polance, i na koniec wrócił do auta, zapomniawszy strzelby w lesie.



P. J. Łukasiewicz, minister pełnomocny i poseł Rz. P. w Rydze, z dwoma głuszcami ubitymi jednego ranka.
Fot. A. Longchamps.

Ranek ten nie przyniósł mi więcej sposobności do strzału. Mój towarzysz nie miał, niestety, spotkania, jego głuszec był tego ranka niezwykle nerwowy, przelatywał z gałęzi na gałąź i na ziemię, tak, że o podchodzie nie było mowy; wreszcie niespłoszony poleciał. W Rydze czekała nas kąpiel, krótka drzemka, dłuższe śniadanie i o 5-ej wyjazd autem w sześć osób do drugiego leśnictwa, Taurkalu, odległego o sto kilometrów. Tam przyjęli i ugościli nas niezwykle uprzejmi i mili pp. Ansonowie — p. Anson jest inspektorem lasów. Około pierwszej w nocy rozjechaliśmy się na toki. Taurkaln jest perłą lasów łotewskich i ma najlepsze toki. Istotnie knieja może imponować i niezwykłym drzewostanem i porządkiem zagospodarowania. Po półgodzinnem czekaniu wysłuchałem pieśń i poszedłem jej śladem. Podchód teraz nie przedstawiał dla mnie żadnych trudności. Piewcę dostrzegłem już z dużej odległości: siedział na samym czubku wysokiej sosny, odcinając się wyraźną sylwetą na mrocznem niebie. Grał nerwowo z dużemi przerwami, ciągle zwracając głowę w przeciwnym kierunku, skąd widocznie wyczuwał coś niepokojącego. Doszedłem go na przeszło 80 kroków, pakując się ostatnim skokiem w bagno po kolana. Hultaj kogut zrobił sobie, jak na złość, wtedy pauzę. O najmniejszym ruchu mowy nie było, gdyż stałem prawie na czystem. Wtem sąsiad mój, widać nie bardzo odległy, strzelił. Strzał ten najniepotrzebniej w świecie zainteresował mego głuszca i skłonił go do przedłużenia swej pauzy w nieskończoność. Z podełba widzę, jak kogut wykręca głową na wszystkie strony, czuję, że będzie źle. Trwam jednak w tym kamiennym bezruchu, nie bacząc, że woda mi się wlewa do butów, i modlę się o dwie jeszcze pieśni. Widocznie jednak poprzedniego dnia musiałem czemś zgrzeszyć, bo oprócz kilku małych i lękliwych prób nie usłyszałem nic. Dobre pół godziny wytrzymał mnie głuszec w tej niemiłej pozycji i wreszcie widząc, że sytuacja się nie polepszy, zaryzykowałem z tej odległości strzał. Efekt był do przewidzenia i choć kogut zaznaczył, jednak nie dostałem go. Zmartwiony wróciłem na punkt zborny. Pokazało się tam, że ani mój nieszczęsny sąsiad, ani nikt z naszej paczki nie zdobył królewskiego łupu. Drugie auto było szczęśliwsze, gdyż wróciło z trzema kogutami.

Wieczorem tego dnia zabawialiśmy się słonkami. Ciąg był znowu słaby, jednak spotkania szczęśliwsze, gdyż we czwórkę przecież cztery ściągnęliśmy z powietrznych szlaków na ziemię. O dwunastej w nocy druga w tem leśnictwie, a zarazem ostatnia moja, wyprawa na toki. Głęboko trzeba mi było iść w las, by dotrzeć do miejsca zasadzenia głuszca. Rozpoczął pieśń o trzeciej zrana (u nas — o drugiej); grał jednak wymarzenie, pieśń szła po pieśni prawie bez przerwy tak, że przebyłem odległość jakich 60 kroków jednym tchem. Grał w rzadkiej, średnio wysokiej sośnince. Dostrzegłem go prawie odrazu, choć również w postaci ciemnej plamy. Tym razem jednak wahania i wątpliwości moje były o wiele krótsze. Jeszcze jeden skok i... po strzale głuszec w ręku. Dalsza wędrówka po lesie wypadła bez wyniku; mój strzał i liczne strzały mych sąsiadów przerwały zupełnie toki w tej części knieji. Bóg zapłać jednak św. Hubertowi i za to. Ranek ten był naogół udatniejszy od wczorajszego; i tak mój najbliższy sąsiad zdobył dwa wachlarze, a druga część myśliwych trzy, czy cztery.

Tak oto upłynęły mi toki w tych cudnych lasach przy jeszcze cudniejszej pogodzie i zadziwiającem cieple. Ostatniego kwietnia opuściłem Łotwę, unosząc niezwykle miłe wrażenie i wdzięczność dla dyrektora Meldersa za pozwolenie zapolowania, zaś dla mego kochanego gospodarza i amfitrjona za serdeczną gościnę i tak skuteczne wstawienie się u pana i władcy kniej łotewskich. Niejeden z czytelników pozazdrości mi tej wyprawy i zaprawdę będzie miał czego!

Warszawa, 16.V.1928 r.

ANDRZEJ LONGCHAMPS.



Dyr. Melders z 6 kogutami ubitymi w dwie strzelby jednego poranka. Fot. A. Longchamps.

WIOSENNE POLOWANIE NA GĘSI.

19-go maja 1921 roku ruszyła Angara. Polując w polach na przelotne kaczki i rzadkie jeszcze gęsi, z upragnieniem wyczekiwaliśmy przejścia pierwszych lodów, idących zwartą ławą. Angara stanowi jedną z głównych dróg wędrówki ptactwa wodnego, lęgnącego się na dalekiej północy, a więc łabędzi, gęsi, licznych odmian kaczek, nurogęsi (nad Angarą lęgowych), nurów i perkozów. Ciągnąc z południa, skrzydlate rzesze rozsiadają się na krze i odbywają dalszą podróż Angarą do jej ujścia z Jenisiejem aż do oceanu. Odbitego żeru dostarcza ptactwu lód przybrzeżny, płynie on ostatni i zwykle na nim przepływają wielkie stada gęsi. Dodać należy, że główne koryto rzeki oczyszcza się z lodów szybko, poczem reszta sunie powolniej u brzegów. Wynik polowania, trwającego trzy — cztery do siedmiu dni, zależy od szybkości następowania wiosny, gdyż masowy przelot gęsi i łabędzi, śpieszących w tundry, by zdążyć wychować młode pokolenie, wypada niezależnie od stopnia tajania lodów, pomiędzy 20 — 25 maja. Gdy wiosna jest wczesna, przeloty wypadają na okres, kiedy lód wąską wstęgą wije się u brzegów; wtedy można strzelać skrzydlatych gości setkami. Przy wiośnie późnej, lody zajmują jeszcze całą szerokość rzeki, ostrożne ptactwo trzyma się jej środka i myśliwy skazany jest na daremne wyczekiwania, ścigając pożądliwym wzrokiem niezliczone stada, poważnie spacerujących po lodzie, gęsi. Dzień i noc ciągną ich setki tysięcy.

Z uśmiechem niedowierzania słuchałem opowiadań o tem, lecz to, o czem się przekonałem naocznie, przeszło wszelkie oczekiwania. Cała powierzchnia potężnej rzeki chwilami jest usiana ptactwem, po strzale zrywają się istne chmury i, przeleciawszy pod prąd 2 — 3 kilometry, zapadają znów na lód.

Dwudziestego trzeciego maja pod wieczór środek rzeki uwolnił się od kry i towarzysz mój, stary, doświadczony myśliwy naznaczył wyjazd o świcie. Ranek był pogodny, słoneczny, dął równy, zachodni wietrzyk. Angara wyglądała majestatycznie, ujęta w iskrzące się srebrem i wszystkiemi barwami tęczy, ramy spiętrzonych na kilkanaście metrów, lodów, na których, jak baszty strażnicze, gęsto siedzą ogromne kopice kry. Ciszę poranka przerywał łoskot walących się, podmytych wodą zatorów. Łódź wydała mi się za ciężką do manewrowania pośród kry i do wyrzucania na lód, gdy zagraża zator, no i zgniecenie; lecz właśnie wielkość łodzi wyratowała nas w ciężkiej potrzebie. Naciągnęliśmy żagiel, stary Nikon z nieodłączną fajką w zębach zasiadł przy sterze, ja — do wioseł, uzbrojony w mocny, okuty bosak do odpychania się od kry. Łódź wolniutko sunęła u brzegu. Co kilkaset kroków zrywała się parka nurogęsi.

Gęsi zaczęły się pokazywać u przeciwległego brzegu, a właściwie pośrodku rzeki, której prawa połowa, umocniona wyspami, jeszcze stała. Z pomocą wioseł przejechaliśmy rzekę. Dalszy plan polegał na przedostaniu się wyżej ponad kataraktę, gdzie prąd unosił krę szybko przy samym zatorze, a tam ulokowawszy się na lodzie, można było spodziewać się dogodnych warunków do strzału. Niestety, prąd i gęsty lód udaremniły moje wysiłki i nakoniec wielka tafla lodu pchać nas zaczęła pod zator. Szczęśliwie wyciągnęliśmy łódź na krę i szybko spływaliśmy w dół rzeki, wyczekując luki między lodem, by zepchnąć łódź na wodę. Nieoczekiwanie na zakręcie nadciągnął pojedyńczy gęsior; szczęśliwy strzał i z podwiniętą głową i złożonemi skrzydłami zwalił się między krę. Czemprędzej zepchnęliśmy łódkę i odpychając się drągiem i wiosłami, po półgodzinnych wysiłkach, zziajani i wyczerpani wyłowiliśmy zdobycz.

Tymczasem prąd nas zniósł kilka wiorst naprzeciw wyspy w cichą przystań za stromą ścianę lodów, miejsce nadające się znakomicie do ukrycia łodzi i czatowania na gęsi. Przywiązaliśmy łódź do bryły lodu. Po posiłku Nikon ułożył się do poobiedniej drzemki, ja gotów do strzału wyczekiwałem gęsi. Kaczki, jakby w przekonaniu, że zasadzka im nie grozi, spokojnie podpływały na kilka kroków. Słońce przygrzewało mocno. Wydało mi się, że bryła, do której przymocowaliśmy linkę, drgnęła, i po chwili okazało się, że cała masa lodu, podmyta wodą, obsuwa się. O odwiązywaniu sznura nie było mowy, zaledwie siekierą go przeciąłem i prąd nas zniósł o kilkanaście kroków, gdy cała góra runęła z trzaskiem. Minuta spóźnienia, a z łodzi razem z pasażerami zostałoby wspomnienie. Nikon zbudzony rozgniewał się za stratę linki, i nawet oceniwszy minione niebezpieczeństwo, nie przestał gderać.

Gęsi się nie pokazywały, a co gorsze, kra coraz gęściej pokrywała rzekę i pod wieczór szła całem korytem. Wylądowaliśmy na wyspę, gdzie już kilku myśliwych szykowało nocleg, dowiedziawszy się, że Angara dopiero ruszyła, o 70 wiorst wyżej, nad Murskim porohem i, że o ile przelot gęsi zacznie się niedługo, szanse na obfitą zdobycz są minimalne. — Całą noc kra płynęła ławą i coraz częściej dochodziły z rzeki nawoływania gęsi. O świcie lód był tak gęsty, że nie było możności opuszczenia wyspy. Ptactwa przybywało, a my coraz niżej spuszczaliśmy nosy, obserwując spokojnie żerujące pośrodku rzeki gęsi. Około południa postanowiliśmy spłynąć 8 wiorst wdół rzeki, gdzie prąd przybijał lód do wysuniętego w rzekę cypla. Manewr technicznie się udał, lecz nadzieje zawiodły, i do zmierzchu nie doczekaliśmy się gęsi na strzał. Nad ranem kra zrzedła i zerwał się dość silny wiatr. Pod żaglem, manewrując pomiędzy krą, przebyliśmy kilkanaście wiorst i znów na katarakcie, uwięzieni lodem, pozbawieni inicjatywy, płynęliśmy nazad. I tu spotkała nas niespodzianka, która omało nie skończyła się katastrofą. Opierając się o wyspy, połowa rzeki stała i za wyspami poziom rzeki był znacznie niższy. W nocy, o czem nie wiedzieliśmy, wyrwało wąskie gardło między wyspami w kierunku przeciwnym prądowi i różnica w poziomie wody sprawiła wytworzenie się znacznego spadku, którym porwana z dużej powierzchni głównego koryta kra, tłoczyła się z niezmierną szybkością w wąskie przejście i całą siłą prądu biła w urwisty brzeg wyspy i ogromną górę lodową, walącą się pod uderzeniem kry. Jakiś podejrzany szum doszedł do naszych uszu, stopniowo się wzmagał, przechodząc w trzask i łoskot. Krą niosło nas coraz prędzej i naraz zawróciliśmy pod prąd wgnieceni wraz z lodem w wąską cieśninę. Widok był groźny: olbrzymie kry, płynące już na kant, pękały z trzaskiem ogłuszającym, miażdżąc się, gniotąc i nurzając wzajemnie. Brzeg wyspy stękał pod uderzeniami taranów lodowych, a na końcu piekielnej gardzieli, przed zakrętem, widoczny był kres naszej podróży, tam, gdzie kra biła w zator. Rzuciłem wiosła, zdając się losowi. Towarzysz mój, wskazując palcem na zator, lakonicznie zadecydował: „tam nas rieszit" (tam nasz koniec), przeżegnał się i najspokojniej pykał fajeczkę. Łódź trzeszczała i tańczyła jak opętana na grzbietach kry. O kilkadziesiąt kroków od zatoru, pod jego osłoną stała nieruchoma, wielka tafla lodu, dochodząca do wyspy; „w niej ratunek" — przeleciało mi przez myśl. Prawie nieświadomie wyrwałem deskę z podłogi łodzi i ze sznurem w ręku wyskoczyłem na umykającą mi się z pod nóg krę. Nic wiem, kiedy i jak w kilku wielkich susach byłem bezpieczny. Sznur od łódki zaczepiłem o bryłę lodu. Łódź umocowana na miejscu, podbijana z dołu przez wynurzającą się krę, skakała jak piłka. Nikon za moim przykładem, trzymając się linki, szczęśliwie wyladował. Chodziło już tylko o ratowanie bagażu i łódki. Wzajemnym wysiłkiem udało się nam po długich mozołach wyciągnąć ją na stały lód. Na wyspie było kilkunastu myśliwych; zauważyli naszą katastrofę i przybiegli na ratunek, w samą porę, bo ratująca nas kra zmniejszała się szybko. Uciec na wyspę mogliśmy, ale wciągnięcie łodzi na stromy, wysoki brzeg, było zadaniem ponad nasze siły. Gromadą wesoło jęliśmy się pracy i po kilku minutach poczuliśmy pod nogami ziemię. O spuszczeniu łódki z tej strony nie było co marzyć, na przeciąganie przez wyspę była za ciężka i narazie zostaliśmy jej pozbawieni, a tem samem i możności polowania.

Skwapliwie skorzystałem z propozycji „arteli" z ośmiu myśliwych przyłączenia się do nich. Gęsi płynęły bardzo gęsto. Kilkaset kroków od brzegu wyspy, na mieliźnie, utworzył się duży zator, do którego podpływała kra, usiana ptactwem na 30 — 40 kroków. Gdy gęsi równały się z naszem stanowiskiem, „artiel" dawała ognia salwą. Ja dość skutecznie grzmiałem z obu luf do podrywających się ptaków. Dwie łódeczki ukryte poniżej, zbierały trofea. Strzelaliśmy dużo, póki można było rozróżniać ciemne sylwetki ptaków na lodzie. Ile gęsi padło, określić trudno, dużo zginęło zatopionych krą, podnieśliśmy 64, w tem, według mego obliczenia, moich 12.

Całą noc nieopisany gwar panował na rzece, o świcie umilkły wszelkie odgłosy. W braku gęsi, do południa strzelaliśmy kaczki na kałużach wyspy. Po obiedzie zasiedliśmy na dawnem stanowisku, w oczekiwaniu nowych zastępów. Daliśmy kilkanaście strzałów do oddzielnych, małych stadek. Główny przelot gęsi skończył się. Wieczorem wróciliśmy do domu, ja, szczęśliwy z odniesienia nowych, dotąd nieznanych wrażeń myśliwskich, stary Nikon chmurny i niezadowolony z małych rezultatów tegorocznego polowania.

Dr. T. FILIPOWICZ.

ŁOWIECTWO NA ZIEMIACH KRZYŻACKICH.

Właściwy tytuł niniejszego szkicu powinien być „Łowiectwo na ziemiach polskich, będących swego czasu pod zarządem Krzyżaków", z uwagi, iż Krzyżacy nie byli odrębnym narodem, ani też kraju rodzinnego nie posiadali. Wychodząc z założenia, iż każdy Polak-myśliwy, prócz wielu innych przymiotów myśliwskich, powinien znać również i historję łowiectwa ojczystego kraju, postanowiłem nakreślić krótki szkic o łowiectwie na ziemiach polskich za czasów Krzyżactwa, jakiemi były: Prusy Zachodnie, Prusy Wschodnie, Mazury, Warmja, Ziemia Dobrzyńska i Chełmińska.

Zasadniczo zwierzchnikom Zakonu Krzyżackiego, tak wielkim Mistrzom, jak i Biskupom, ze względu na ich stanowisko, jako duchownych książąt, huczne polowania odnośnymi przepisami kościelnymi były zakazane, dlatego też brak z tych czasów opisów świetnych łowów dworskich, jakie podówczas gdzieindziej się odbywały. Również braciom zakonu było wzbronione polować z psami lub soko-



Z głuszcowych ostoi łotewskich. (Nadl. Taurkaln).
Fot. A. Longchamps.

łami. Jeżeli natomiast w ich posiadłościach znajdowały się większe lasy i knieje,w których było wiele zwierza, z uwagi na zyski i pożytek mogący z tego powstać, np. zdobycie mięsa i skór, wolno im było utrzymywać osobnych łowców, którym mogli przy wykonywaniu czynności łowieckich towarzyszyć. Było im natomiast dozwolone, wilki, rysie i niedźwiedzie, lecz bez psów i nie w celu rozrywki, lecz dla ogólnego pożytku tępić. Niekiedy mogli się Bracia krzyżowi ćwiczyć w strzelaniu do ptactwa, aby stosowne przygotowanie w używaniu broni nabyć.

Kiedy jednak Zakon Krzyżowy przybył na ziemie polskie, gdzie były wielkie obszary lasów i niezliczone mnóstwo jezior, pełnych wszelakiej zwierzyny, prawo polowania, przysługujące królom i książętom, przeszło na zakon, który na całych ziemiach jemu oddanych i później zabranych, to prawo otrzymał. Prawo to przynosiło pewne korzyści z dóbr, które początkowo mieszczanie toruńscy i chełmińscy na mocy tak zwanego „Prawa Chełmińskiego" od zakonu z pewnemi zastrzeżeniami otrzymali. Przedewszystkiem z każdego ubitego lub ułowionego zwierza, z wyjątkiem niedźwiedzi i dzików, na których łowy urządzali tylko rycerze zakonu, prawą łopatkę należało odstawić do ekonomji odnośnego komturstwa. To samo dotyczyło i innych miast lub osad, które z czasem powstawały na prawie Chełmińskiem i posiadały prawo polowania. Jakie znaczenie miała zwierzyna w gospodarstwie domowem krzyżaków, wynika z rejestracji żywności komandorji na zamku rogozińskim z roku 1388; spis ten wykazuje między innemi: 3 dziki w soli, 215 kawałków suszonego mięsa, 3 i pół kopy wędzonych boczków; w dwa lata później czytamy: 150 szynek dziczych i 10 łopatek niedźwiedzich.

Zwierzyny, jak wyżej wspomniałem, było pełno w prastarych borach, wszelakiego rodzaju, z której niejedne gatunki dziś już wcale nie istnieją, lub należą do rzadkości. W nadanym przywileju dla osady Litz z roku 1425 czytamy o żubrach, dzikich koniach, niedźwiedziach, dzikach, jeleniach, bobrach, kunach, wydrach i w. innych. Na ziemiach dzisiejszych Prus Wsch., Mazurach, Warmji, gdzie był ongiś niedźwiedź stałym mieszkańcem borów, dzisiaj się go zupełnie nie spotyka. Ostatni przedstawiciel padł w roku 1804. Wilka spotykano jeszcze dosyć często pod koniec 19 stulecia, obecnie pojawia się czasem jako zabłąkany w ostrzejsze zimy z Litwy lub Polski. Ryś pladrował jeszcze w 17 stuleciu, dłużej utrzymywał się najokazalszy mieszkaniec puszcz, żubr, którego ostatni okaz 16 cent. wagi, 10 stóp długi a 6 wysoki padł od kłusownika w roku 1755. Oprócz żubrów, było mnóstwo łosi, których obecnie tylko nieliczne sztuki czasami się spotyka. Jeleń, zwłaszcza na Warmji, był ofiarą niesłychanego rzeźnictwa, jednakowoż przetrwał do naszych czasów. Wspomnieć należy, iż w roku 1684 mieszkańcy Szczytna posłali biskupowi Warmijskiemu w podarunku żywego jelenia. Bobry trzymały się prawie na wszystkich rzekach tych ziem. Sprzyjała im dostateczna ilość wody i powolny bieg rzek. Z łownego ptactwa, z którego okazy jeszcze dziś tu i ówdzie się spotyka, występowały liczne głuszce, cietrzewie, pardwy i jarząbki.

Zaznaczyć wypada, że już w owych czasach rozróżniano małe i wielkie łowy, — chociaż definitywne ustalenie tej różnicy, dopiero znacznie później nastąpiło. Do wielkich, już wówczas zaliczano: niedźwiedzie, jelenie, dziki, rysie, wilki, żubry, łosie, a na Warmji i sarny, do małych łowów należały: sarny, zające, lisy, wydry, kuny, borsuki i ptactwo. Polowanie na bobry zastrzeżone było zwierzchnikom danej ziemi, którymi były zazwyczaj odnośne komturje. Największa kolonja tych zwierząt gnieździła się na jeziorze Bobrowo w komturji Radzyńskiej. I tu jednak zachodziły wyjątki, np. w roku 1400 biskup Warmiński zapisuje niejakiemu Jordannsowi 20 łanów i udziela mu ze szczególniejszej łaski prawo polowania na bobry. Dla małych łowów nadawano prawo polowania bez żadnych zastrzeżeń, natomiast na grubszego zwierza nadawanie należało do wyjątków. Wspomnę tu o osobliwem ograniczeniu w wykonywaniu prawa polowania, jakie otrzymało miasto Orneta (Warmja) w miejskim lesie dnia 27.II.1376 r. W przywileju temu miastu nadanym czytamy między innemi: „aby mieszczanie ów las tembardziej pilnie strzegli i nikomu w nim polować nie dozwalali, stanowimy ze szczególnej łaski, by rajcowie miasta, w razie gdyby mieli sławnych gości, lub wyprawiali uroczyste wesele, albo dla innego powodu zaszłaby potrzeba, mogli zabić strzałami jedną lub dwie sarny, nie posługując się przytem sieciami , jednakże z zastrzeżeniem, że jeżeli my lub nasi następcy uznaliby za potrzebne sarny ochraniać, to tem samem dozwolony odstrzał ustaje".

Z prawem polowania było związane również prawo łowienia ptactwa.

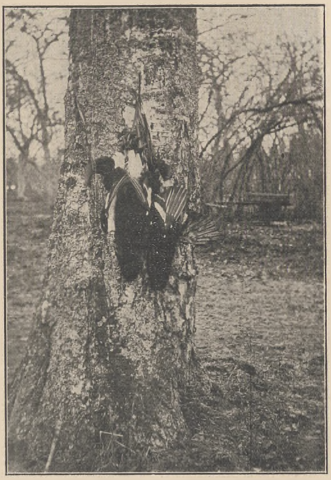
Z braku broni palnej używali średniowieczni łowcy rozmaitych środków, aby przyjść w posiadanie zwierzyny. Zasadniczą bronią był łuk, z którego strzałami zwierzynę w biegu zabijano. Przy spotkaniu wręcz ze zwierzem posługiwano się oszczepem. Polowano także z ogarami, łowiono w matnię i różne sieci, urządzano obławy lub kopano doły.

Tak wielki mistrz, jak i biskupi bardzo rzadko oddawali się łowom. Wielkiemu mistrzowi i komturom przysługiwało w istocie dla wytchnienia i odpoczynku prawo od czasu do czasu brania udziału w polowaniu. Taksamo dozwolone im było polowanie z sokołami, w którem z uwagi na towarzyszącą tym łowcom namiętność, wskazana była pewna wstrzemięźliwość.

Wielki mistrz odbywał zazwyczaj wyprawy łowieckie w okolicę Sztremu, gdzie wszystko do łowów było odpowiednio przygotowane, a zwłaszcza liczna psiarnia. Ze Sztremu wyprawiano się w okolice Wisły lub w lesiste obszary nad zatoką Fryzyjską, gdzie łowy trwały najdłużej. W okolicach, w których się owe łowy odbywały, mieszkańcy tych posiadłości byli obowiązani dawać wszelką pomoc i świadczyć różne usługi. Zobowiązania takie były dokładnie oznaczone w dokumentach fundacyjnych i przywilejach, dla danej miejscowości nadawanych. Tak np. komtur z Nieszawy, nadając mieszkańcom wsi Kostrzyń w roku 1390 prawo targowe, zastrzegł sobie, aby ludność między innemi pomagać miała przy łowach najmniej dni osiem każdego roku; komtur zaś Tucholski, darowując niejakiemu Czeske majętność Wędromież w roku 1353 w akcie nadania tak pisze: „stanowimy także, aby tenże Czeske w polowaniach naszych kiedy i gdziekolwiek do udziału przez naszych braci zakonnych wezwany będzie, po wieczne czasy to czynił". Mieszkańcy innych miejscowości, jak np. Czeroha i Wiela (dzisiejszy pow. Chojnicki) byli prawnie zobowiązani dwa dni co roku pomagać przy łowach.

Przy polowaniach uważano również, aby rolnikom nie wyrządzano szkody, a jeżeliby się gdzie takie zdarzyły, były sowicie wynagradzane. Według jednej konotacji, otrzymał pewien wieśniak dwa guldeny, jako odszkodowanie za dwie gęsi, które mu psy wielkiego mistrza rozszarpały. W innej miejscowości wypłacono tytułem odszkodowania za stratowanie zasianej roli 6 marek. Pod Sztumem wieśniak z Wysokiej, za stratę 15 owiec, które mu psy myśliwskie zadusiły, otrzymał dwie marki, co na owe czasy było dość pokaźną sumą.

Kłusownictwo w czasach krzyżackich nie było



Wiosenna zdobycz. Fot. Jan Bończa Markowski.

tak rozwinięte, jak obecnie. Zdarzało się od czasu do czasu, iż zwierzynę złowioną w zastawione sieci lub wykopane doły, wykradano, zanim ją przyszedł podjąć prawowity właściciel.

Z tego krótkiego szkicu można sobie dokładnie wyobrazić, jakie to błogie czasy były wówczas dla wyznawców św. Huberta na ziemiach polskich.

JAN ŻARNOWSKI.

POLOWANIE NA TYGRYSA.*)

Tygrys jest bez wątpienia najdzikszym, krwiożerczym zwierzem z rodziny kotów, najniebezpieczniejszym wrogiem wszelkich zwierząt i człowieka, niemniej jednak wspaniałem i przepięknem stworzeniem, imponującem ludziom swą nadzwyczajną siłą, wzrostem, odwagą i przebiegłością. Nie mniej pięknem od jego kształtów jest jego futro puszystogładkie. Ciemne, niemal zupełnie czarne, poprzeczne, szerokie pręgi, żywym kontrastem odbijają od ogólno jasno-żółtego tła ubarwienia skóry, białego, jak u wszystkich kotów, podbrzusza, a duże, sterczące na szerokim łbie uszy, zielone ślepia, przy rozłożystych bokobrodach, nadają zwierzęciu dziki, surowy wygląd. Przyspasabianie przez naturę wyglądu zwierząt i ptactwa, stosownie do otaczającej je przyrody i tu, u tego zwierzęcia wyraźnie występuje. Pręgowate jego ciało tak doskonale harmonizuje z ciemnemi łodygami krzewów i trzcin, zeschłemi trawami i wszelką roślinnością, iż najwprawniejsze oko myśliwca, a nawet orli wzrok tuziemców, nie łatwo odróżnić je potrafi od otaczającej zwierza przyrody. Znamy wszyscy tygrysa z rysunków, opisów i opowieści, widujemy go nawet w zwierzyńcach, ogrodach zoologicznych, w klatkach na cyrkowych arenach, lecz jak on jest różnym od zwierza, żyjącego na swobodzie, w właściwych mu warunkach, w swej rodzinnej puszczy lub bezbrzeżnej dżungli! Uwięziony w klatce, najczęściej źle i niedostatecznie odżywiany, ustawicznie niepokojony i męczony tresurą, w tęsknocie do ojczystej puszczy, zatraca swoją wspaniałość, swój śmiały i bohaterski wygląd, chudnie, schnie i przepada. Kolebką tygrysa są Indje, lecz tego królewskiego zwierza widzimy tak dobrze w Indjach, na Ceylonie, w Tybecie, w Persji, na pobrzeżu morza Kaspijskiego, jak i na Zakaukaziu, w Mandżurji, Korei, nad Irtyszem, Leną, nad Amurem i w Ussuryjskim kraju, od 8 stop. połudn. szerokości do 60 stop. północnej szerokości. Ulubionem miejscem jego przebywania są przeważnie płaszczyźniane knieje nizinne, pokryte niskopiennemi zaroślami i kolczastą dżunglą, niemniej oczeretowe puszcze, gdzie najchętniej w bliskości wodozbiorów, lub rzek obiera sobie legowiska. Niechęt-

*) Wg. G. Szuberta.

nie udaje się za zdobyczą i pogonią za zwierzem w wyższe rejony — w górach mało spotykany. Świadomi zwyczajów życia tygrysów myśliwi, szukają go przeważnie w bliskości znanych wodopojów, gdzie czyha na swą zdobycz, na stworzenia przychodzące dla ugaszenia pragnienia. O strasznych spustoszeniach, jakie ten zwierz robi w Indjach, dowiadujemy się z gazet i wykazów statystycznych rządu angielskiego: o zaginionych pasterzach, pocztyljonach, robotnikach plantacyjnych, pielgrzymach i setkach bydląt domowych. Przypuszczać jednak możemy pewną nieścisłość liczebną, co z pewnych względów i zapatrywań rządu jest zrozumiałe, zdwojenie lub potrojenie tych ofiar, padłych w 5 — 6 miesięcznym okresie corocznym, nie będą zbyt przesadne. Indyjscy myśliwi nie uważają tygrysa wyłącznie za nocnego zwierza, gdyż można tego rabusia o każdej porze dnia lub nocy spotkać włóczącego się po okolicy, lub siedzącego na czatach przy wodopojach w oczekiwaniu zbliżenia się zwierząt, lub pielgrzyma, religijne ablucje w rzece sprawującego. Najstraszniejszym jest tygrys ludojad. Raz zakosztowawszy ludzkiego mięsa, zwierz ten staje się okropnym biczem danej miejscowości, a odwaga jego przechodzi możliwe granice, poluje wyłącznie na ludzi, przekładając smaczną a łatwą zdobycz nad pogoń za szybkim jeleniem, gazellą lub dzikiem. W swym hazardzie zapewne nic odróżnia uczonego — białego naturalisty od czarnego indusa — ni muzułmanina od chrześcijanina, dusi każdego i pożera, gdzie ku temu sposobność się nadaje. Z kocią sprężystością, a chytrością węża, podkrada się do swej ofiary, jednym skokiem rzuca się na nią, jednem łapy uderzeniem zabija i unosi ją w dżunglę. Nadzwyczajną swą siłą nie tylko człowieka zdolny porywać i unosić: z jeleniem, bydlęciem, przesadza wysoką zagrodę. O tej sile mówi nam jeden z myśliwych co następuje: „Pewnemu radży anglik podarował pięknego ogiera dwulatka. Ucieszony radża zbudował dla pięknego konia osobną zagrodę, otoczył ją wysokim, bambusowym częstokołem, powierzył straż najlepszym ludziom, którzy dla odstraszenia rabusia podtrzymywali ustawiczne ogniska w pewnej od zagrody odległości. W najbliższy ranek przez jedno z wygasłych ognisk, przedostał się tygrys do środka zagrody, zadusił pięknego konia i przeskoczywszy przez płot wysoki, znikł ze swą zdobyczą w dżungli, zanim straż zdołała podnieść alarm". Możemy więc przedstawić sobie te kolosalne straty, jakie ten rabuś przy swej śmiałości i sile wyrządza w dobytku mieszkańców i w łownej zwierzynie tych stron. Indusi uważają tygrysa za wysłańca piekieł, w wielu jednak okolicach oddają mu cześć bałwochwalczą, w innych, nawiedzanych przez masy dzików, rujnujących gospodarstwa i niszczących plantację, za masowe ich tępienie przez tygrysa, błogosławią tego strasznego rabusia. Ciekawe są tygrysie polowania na pawie. Mądry i ostrożny ten ptak nie łatwo daje się tygrysowi podejść, ogłuszającym krzykiem ostrzega resztę ptaków o jego pojawieniu się i tygrys, spudłowawszy w skoku ptaka, zostaje przez niego głośno wyszydzony i ze wstydem kryje się w gęstwiny. Główną zaś rolę ostrzegawczą odgrywają słonie. Poczuwszy rabusia na daleki nawet dystans, wznoszą swe długie trąby do góry i alarmują całą okolicę, ostrzegając ludzi i zwierzęta przed grożnem niebezpieczeństwem. Nie mniej wrzaskliwe małpy na widok tygrysa straszne podnoszą larum.

Indyjscy władcy, maharadżowie, będąc przeważnie myśliwymi, urządzali w czasach swej świetności tygrysie łowy z zadziwiającym przepychem i okazałością. Radża taki szedł na łowy z całym swym licznym dworem. Setki rozkosznie przybranych słoni niosło na swych grzbietach w wygodnych wieżycach swego pana, w całej okazałości przystrojonego w jedwabie, złoto i drogie kamienie, rozkoszny jego harem barwny, od błyskotek mieniący się w promieniach słońca, otoczony gromadą jeźdźców, zbrojnych w bogatą zbroję i łuki świecące, sokolników z berkutami zakapturzonemi, harcujących na pięknych bachmatach, chóry śpiewaków, powabnych harfiarek, wielbłądów z klatkami białych gołębie i śpiewnych słowików, dla rozweselenia żon jego, oraz setki luźnego ludu, zbrojnego w łuki i długie piki, nie brakło wrzaskliwej muzyki, trąb, bębnów, piszczałek. Polowanie takie zasadzało się na wystraszeniu z legowiska zwierza, otoczeniu go i sterroryzowaniu przeraźliwymi wrzaskami i hałaśliwą muzyką. Zalękły zwierz myślał wtedy więcej zapewne o swem ocaleniu, jak o zaatakowaniu myśliwych. Późniejsze łowy nie odznaczały się tak wielkim przepychem, ani liczebnością ludzi, których zastąpiono sieciami, rozstawionemi w trójkąt, o rozwarciu skrzydeł na kilkumetrową odległość, gdzie zapędzano zwierza. Myśliwy, prócz doskonałej broni ówczesnej, musi się przy takich łowach uzbroić jeszcze w wielką dozę cierpliwości i wytrwania nietylko na godzin kilkanaście, lecz i kilkadziesiąt — gdyż zwierz nie tak łatwo da się zapędzić w matnię. Charakterystycznem jest zachowanie się tygrysa, otoczonego siecią. Mimo swej siły i sprężystości, nie ryzykuje on przeskoczyć 4 — 3 metrowej przegrody, coby mu przecie łatwo przyszło, a z wściekłością rzuca się na zagradzającą mu drogę przeszkodę, usiłując ją przerwać, a nie mogąc jej przełamać, plącze się w niej coraz więcej, przywabiając strasznym rykiem myśliwych, czekających na tę dogodną i mało ryzykowną chwilę. Tryumfalnemu pochodowi indyjskich myśliwych towarzyszy ryk trąb, warczenie bębnów i piekielny świst piszczałek, przy akompanjamencie wrzaskliwej tłuszczy, upojonej widokiem martwego wroga, któremu jeszcze po śmierci nie żałują pałek i szturchańców. Indusi używają do łowienia tygrysów głębokich, na 7 metr. dołów, zamaskowanych misternie roślinnością z przynętą żywą, lecz te jamy więcej są dla przechodnia, niż dla chytrego zwierza niebezpieczne. Większe powodzenie mają na zwykłych przesmykach wąskich ścieżek zwierzęcych, rozrzucane grubo powiędłe liście, suto lepem na ten cel przyrządzonym, przepojone, w które zwierz oblepia łapy, a nie mogąc ich otrząsnąć, rwie mordą, tarza się z wściekłością, coraz więcej owijając się w giętkie łodygi i liście, aż traci swobodę ruchów i staje się łatwą zdobyczą czyhających na tę chwilę myśliwych. Jak w Afryce mamy specjalnych shikarich na lwy, tak w Indjach nie brak doświadczonych i odważnych strzelców-indusów. Zawdzięczając ich doświadczeniu, zręczności i odwadze, wiele jeszcze niedawno pustynnych okolic, przez napady ustawiczne krwiożerczych zwierząt wyludnione, na nowo zaludniają się i do dawnej kultury i życia powracają. Wielkie zasługi położyli w tym kierunku Anglicy i spora liczba europejskich myśliwych, odwiedzających corocznie te strony, palmowy wieniec jednak należy się angielskiemu kapitanowi, p. Raysowi, mającemu na swem sumieniu 68 tygrysów, 3 pantery i 25 niedźwiedzi. Rząd angielski wyznaczył oddawna za zabitego tygrysa 10 funtów szterlingów, a pomyślne skutki tego nie dały długo i bezowocnie czekać na siebie. Uwolnione od tego strasznego bicza okolice i obszerne kraje, dotąd tworzące bezpłodne pustynie, dziś są zaludnione pracowitą ludnością, kwitnie w nich kultura świeża, rozszerza się hodowla użytecznych zwierząt i powiększa handel. Mało kto z nas wie o tem, że nawet gnuśni władcy niebieskiego państwa zajmowali się polowaniem na drapieżnego zwierza. Ojciec jezuita Werbisty wspomina w swych pamiętnikach z 17-go wieku o odbytem przez chińskiego cesarza polowaniu w prowincji Lao-Tang, w którem brało udział z górą 5.000

myśliwych zabito 1.000 jeleni, kilkadziesiąt niedźwiedzi, kilka panter i 60 wspaniałych tygrysów, w walce z którymi poległo 80 najdzielniejszych strzelców z cesarskiego otoczenia. Tygrysa w starożytności zapewne nie znano, bo ani Biblja, ani historja nie wspomina o nim, nawet grecy nie znali go i Rzym do 27-go roku przed Chrystusem do czasów Varrona. W późniejszych czasach często widujemy go w cyrkach rzymskich. Klaudjusz posiadał ich cztery, a Heliogabal zaprzągł je w swą koleśnicę. Nearh, wódz wojsk Aleksandra Macedońskiego, widział skórę tygrysa, lecz z żywym się nie spotykał i słyszał od indusów tylko, że wielkością dorównywa koniom, a szybkością wszelkie zwierzęta przewyższa. Pliniusz zaś mówi o tygrysie przywiezionym do Rzymu w 743 r.

W naszych, cywilizowanych czasach, mamy narody, lubujące się w walkach krwawych zwierząt, w czem pierwsze miejsce w tej iście barbarzyńskiej zabawie, potępienia naszego godnej, zajmuje Hiszpanja „w walkach byków". Nie powinniśmy też zbytnio się dziwić i zżymać, że w mniej od Europy cywilizowanych Indjach dotąd utrzymały się walki tygrysów na arenach możnowładców Radżów. Naśladując rzymskich imperatorów, radżowie indyjscy czują się obowiązani dawać prócz „vinum et panem" swemu ludowi cyrkowe krwawe widowiska. Jeden z podróżników wschodnich tak nam opisuje te walki zwierząt w cyrkach: „W Drokdżokarcie, rezydencji Zuzgunana widziałem bój tygrysa z bawołem. Radża w pysznym ubiorze, błyszczącym od złota i kamieni, otoczony licznym i niemniej wspaniałym dworem, zasiadł na pozłocistym tronie — liczny lud czarny okrążył nieprzejrzanem kołem swego pana. Na arenie, otoczonej wysokim płotem bambusowym, stał majestatycznie, z wysoko podniesionym w górę łbem olbrzymi bawół „Kebo", przybrany kwieciem i barwnemi wstęgami, wietrzył rozwartymi chrapami bliskiego przeciwnika, kopał racicami z pod siebie piasek i złowieszczo wydawał ryki przytłumione. W oddali stała wielka klatka z otwartem wiekiem, z której, według programu, miał wyskoczyć tygrys i jednym skokiem rzucić się na przeciwnika. Zmęczony i głodny zwierz, oszołomiony krzykiem ludu i odgłosem hucznej i hałaśliwej muzyki, nie ruszał się, aż niepokojony dzidami stróżów i straszony palącemi pochodniami, jednym skokiem znalazł się na arenie i rzucił się na bawołu. Zawrzała zacięta walka — zwinny kot starał się zaskoczyć bawołu z tyłu, lecz ten, na pozór mało obrotny kolos, zręcznymi ruchami nie dawał zajść się z tyłu i szybko zasłaniał się rogami od skoku przeciwnika, a upatrzywszy stosowną chwilę, sam go atakuje, przypiera do płotu. W chwili, gdy ma brać na rogi, zwinne stworzenie daje szalony skok, unika ciosu, siada na grzbiet bawołu, i z rykiem wściekłości zatapia w gruby kark swe ostre zęby. Ryknął bawół przeraźliwie, wstrząsnął swem ogromnem ciałem i zrzucił rabusia z siebie na ziemię. Teraz zawrzała śmiertelna walka, w której oba zwierzęta wykazały swą siłę i zręczność, podziwu godną. Szybkim, jak błyskawica skokiem, tygrys rzucił się na przeciwnika, bawół z niemniejszą chyżością nadstawił rogi i nadział go na nie. Zaryczał zwierz raniony — zaryczał ponuro bawół, ponownie podniósł go w górę na rogach i jak podziurawiony worek rzucił go sobie pod nogi i zdeptał straszliwie. Zatrzęsło się powietrze od wrzasków tłumu na cześć zwycięskiego bawołu i od złorzeczeń dla strasznego tygrysa".

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

DZIWY NATURY.



Gdy dwóch kocha naraz...

Trening lisa.

Pan Konstanty nie był to miejski myśliwy wyzyskujący w kolorystycznych opowiadaniach przy kieliszku swoje wspomnienia z wypraw łowieckich, lecz stary leśniczy, który cztery dziesiątki lat spędził na obcowaniu z przyrodą i umiał czytać w tajemniczej księdze życia leśnego. O byle czem nie lubił on mówić i jeśli dzielił się spostrzeżeniami, czynił to z istotnej duchowej potrzeby, jak człowiek, który wyczytał coś ciekawego lub mądrego i, nic przydając nic od siebie, powtarza słowa autora.

Tym razem przytoczył mi pan Konstanty ciekawy fakt, charakteryzujący przysłowiowy rozum lisa.

Powtarzam to opowiadanie dosłownie, jako przyczynek do obrony mądrego zwierzęcia, któremu, niestety, grozi zagłada z ręki chciwego człowieka stokroć większego odeń tępiciela zwierzyny.

*

Służyłem wtedy w książęcych borach na Wołyniu. Urodziły mi się tego roku kartofle, zasadzone na kawałku nowiny w świeżo wykarczowanej porębie. Obiecywałem sobie dobry zbiór, gdy pewnego dnia dał mi znać gajowy, że niewiele zbiorę, bo dziki się do kartofli dobrały. Postanowiłem przepłoszyć nieco szkodników.

Miało się ku wieczorowi, gdy wziąwszy flintę na plecy, ruszyłem w las. Pragnąłem za dnia jeszcze zająć upatrzone stanowisko. Wiedziałem, którędy dziki z legowisk swoich w mokradłach ciągną do poręby. Na owej drodze były polanki, a wśród nich stały gdzieniegdzie wysokie na metr lub półtora, spiłowane równo pnie grubych drzew. Na tych to pniach lokowali się myśliwi podczas polowań z naganką na dziki, urządzanych dawniej przez księcia pana dla zaproszonych gości. Dochodziłem właśnie do polany leżącej w pobliżu poręby i dlatego może bezwiednie kroczyłem cicho i ostrożnie. Lipcowe słońce przedzierało się skośnie przez konary drzew i lekki mrok zapadał już w gąszczach, gdy polana była jeszcze jasno oświetlona, a z pomiędzy zbitej masy porastających ją jeżyn, malin i czepiającego się wszędy, dzikiego chmielu sterczał ścięty pień.

Tuż obok pnia biegła ścieżka wydeptana przez ludzi, którzy roku zeszłego do poręby chodzili — teraz uczęszczana wyłącznie przez dzikie zwierzęta.

Miałem właśnie wejść na ową ścieżkę wśród polany, gdy naraz spostrzegłem, że około pnia kręci się jakieś zwierzę. Świecąca rudą barwą na zielonem tle roślin, ruchliwa plama dowodziła, że był to lis. Dziwne jego poruszenia na ścieżce zaciekawiły mię nieco. Obszedłem więc bokiem polanę i przysunąłem się możliwie najbliżej, kryjąc się za grube drzewa.

Widziałem lisa jak na dłoni. Dowlókł on do pnia jakieś spore polano, zapewne kawał korzenia z wykarczowanej poręby i chwyciwszy je w zęby, z wielkim trudem skoczył na wysoki pieniek. Ledwie się znalazł na wierzchołku — natychmiast polano upuścił na ziemię, zeskoczył za niem i znów chwycił w zęby, aby ponowić skok do góry.

Powtarzał to raz po raz aż do znudzenia. Zły już byłem na niego, że wynalazł sobie tak trudną, a jednocześnie monotonną zabawę. Zauważyłem jednak, iż w miarę powtarzania, lis robi coraz udatniejsze skoki. Po kilkunastu próbach polano odrzucone na ścieżkę, chwytał sprawnie i dawał z niem skok sprężysty i szybki, jakby odległość, wysokość, ciężar dźwiganego przedmiotu i siłę swych muskułów obliczył dokładnie i sharmonizował wzajemnie w celu dokonania jakiegoś konkursowego popisu.

Wreszcie ćwiczenia te zapewne go zmęczyły, a może miał już dosyć zabawy, bo po ostatnim skoku odrzucił na bok polano, a sam pozostał na pniu — nieruchomy, płaski i prawie niewidoczny zdala.

Tego rodzaju poza kazała się domyślać, że lis przywarował celowo i czatuje na jakąś zdobycz, więc też cierpliwie czekałem kilkanaście minut. Naraz usłyszałem rechtanie dzika i zobaczyłem kroczącą po ścieżce maciorę, za którą zdążało dziewięcioro ładnych, pręgowanych warchlaczków.

Maciora minęła pień i sznurujące za nią warchlaczki przeszły w podskokach lub wdzięcznym truchciku, gdy wtem, jak grom z jasnego nieba, spadł na ostatniego lis warujący na pieńku.

Warchlak zakwiczał, jakby go żywcem na rożen sadzano. Macjora skoczyła, jak szalona, na obronę dziecka, a lis z pochwyconym za kark prosiakiem, niby z polanem drzewa, dał susa na pień i tam począł go dopiero dusić na serjo.

Lis był zupełnie bezpieczny.

Mimo najgorliwszych usiłowań: wspinania się, gryzienia kory i rycia pod pniem nic mu rozwścieczona maciora zrobić nie mogła.

Położył się i ogryzał prosię spokojnie.

Oblężenie zanosiło się na dłużej. Domyślałem się, że lis pewnie ucieknie, gdy zmrok zapadnie, więc nie czekając końca widowiska, zostawiłem aktorów na polanie i bokiem lasu ruszyłem ku porębie.

Zrozumiałem dopiero teraz, że ćwiczenia lisa z drewnem był to jego, jak mówią sportsmeni „trening“ i, doprawdy, nabrałem szacunku dla tego zwierzęcia, które potrafi wynaleźć i udoskonalić niepospolite sposoby zdobycia koniecznego pożywienia.

Podobny trud rozumowy i fizyczny upewnia nas w przekonaniu, że lis nie może być masowym tępicielem zwierzyny. Równowagi w naturze żaden czworonogi krwiożerca nie zachwieje!

JAN SZCZEPKOWSKI.

Koszatka laskowa.

Bawiąc swego czasu letnią porą przez kilka tygodni w Karpatach we wsi Duszatynie (ad Sanok), wiedziony niezaspokojoną żądzą podpatrywania przyrody, spędziłem wiele czasu w tamtejszych lasach.

Tu udało mi się złowić (w lipcu) w zaroślach leszczynowych zwierzątko nader zwinne i sympatyczne, wielkości myszy, a kształtu tak podobnego do wiewiórki, że gdym je pokazywał kolegom mniej obeznanym z rzeczywistością, chcieli się ze mną zakładać, że to... młoda wiewiórka.

Była to koszatka laskowa, czyli orzeszniczka (Myoxus avellanarius Cuv.). X. Krzysztof Kluk zwie ją „myszką laskową“ (Mus avellanarius, Heslmanus), inni zwą ją też „laskogryzem“ lub orzesznicą (Muscardimus avellanarius). Jest to jeden z najmniejszych gryzoniów, żywiących się orzechami i rozmaitymi owocami i jagodami. Zęby ma wcale silne i ostre; ugryzła mnie boleśnie w palec aż do krwi.

Pod zimę wyszukuje sobie ciepłą kryjówkę w dziurze drzewa i obumiera na przeciąg siedmiu miesięcy.

Koszatka laskowa jest łatwa do oswojenia i daje trzymać się w klatce, gdzie się nawet dość wygodnie czuje, budując sobie w kąciku gniazdko.

Zwierzątko to poraz pierwszy w życiu spotkałem i mam wrażenie, że nie każdemu jest danem znaleźć je w lesie.

St. Konstanty Pietruski, mąż wielkiej nauki, który prawie 40 lat strawił nad badaniem ojczystej zoologji, zalicza koszatkę laskową do „rzadszych krajowych zwierząt ssących".

Wspominam tu o powyższem w poczuciu obowiązku, sądząc, że notatka ta może mieć pewne znaczenie dla tych, którzy oddają się żmudnej pracy nad fizjologją kraju ojczystego.

JÓZEF KOBYLAŃSKI.

Przeloty ptaków — 1928.

W moich zapiskach fenologicznych, prowadzonych od szeregu lat, pierwszy sznur dzikich gęsi notowałem w dniu 6.II. b. r. — dalsze zauważyłem dopiero 13, 15 i następnych dni lutego. Zapadały one na twardą, zlodowaciałą jeszcze powierzchnię wylanych wód w „Dolinie Nadnoteckiej". Tu zbierały się w tysiączne stada wśród dnia, by z nadejściem zmroku udać się w dalszą podróż.

Następnym przybyszem był szlacharek bielaczek (Mergus albus) — 7 lutego.

Skowronka (Alauda arvensis) notowałem pod datą 12 lutego. Pierwsze stadko szpaków (Sturnus vulg.) w dniu 15 lutego.

Podczas szeregu ciepłych dni, jakie mieliśmy na początku marca, przyleciały:

Czajka (Vanellus vanellus)	6	marca
Grzywacz (Columba palumbus)	7	„
Srokosz (Lanius collurio)	13	„
Zięba (Fringilla coelebs L.)	14	„

Po kilkodniowej przerwie przyleciały:

Bocian (Ciconia alba)	23	„
Gawron (Corvus frugilegus)	23	„
Rybitwa (Sterna fluviatilis)	25	„
Mewa Śmieszka (Larus vidibundus)	25	„
Łyska (Fulica atra)	25	„
Bekas Kszyk (Gallinago gallinago)	26	„
Drozd śpiewak (Turdus Musicus)	26	„
Pliszka biała (Motacilla alba)	26	„
Pustułka (Falco tinunculus)	27	„
Kurka wodna (Gallinula chloropus)	29	„
Cyranka (Querquedula querquedula)	29	„
Perkoz dwucz. (Podiceps cristatus)	1	kw.
Słonka (Scolopax rusticola)	1	„
Cyraneczka (Nettion crecca)	2	„
Kulon (Oedicuemus crepitans)	3	„
Pliszka żółta (Motacilla flava)	5	„
Jaskółka dym. (Hirundo rustica)	10	„
Sokół kobuz (Falco subbuteo)	14	„
Brodziec krwawodz. (Totanus calidris)	18	„
Gągoł (Clangula clangula)	21	„
Krętogłów (Junx torquilla)	23	„
Podgorzałka (Nyroca nyroca)	24	„
Perkozik (Colymbus fluviatilis, min.)	26	„
Kukułka (Cuculus canorus)	28	„
Trzciniak (Acerocephalus schoenobaenus)	1	maja
Lelek kozodój (Caprimulgus europ.)	2	„
Żurawie (Grus grus)	2	„
Wilga (Oriolus Galbula)	6	„
Kraska (Coracias garrula)	13	„

Nadleśnictwo Państw. Potrzebowice Woj. Pozn.

A. WIŚNIEWSKI.

NASZA ILUSTRACJA CZOŁOWA.

Podczas gdy sokolnictwo egzystuje u nas prawie tylko w tradycji, ten rodzaj polowania po dziś dzień jest b. rozpowszechniony w Algierze. Tłumaczą to tem, że Arabi jedynie w wyjątkowych wypadkach otrzymują pozwolenia na broń myśliwską od rządu francuskiego, skutkiem czego dla zdobycia zajęcy, królików i wszelkiego ptactwa używają sokołów. Rycina nasza przedstawia typ sokolnika z Biskry z trzema wytresowanymi sokołami.

Redaktorzy: **Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.**

WYJAŚNIENIA W SPRAWIE PRENUMERATY.

Wobec kończącego się w bieżącym miesiącu półrocza i II kwartału, musimy wyjaśnić szczegółowiej formalności prenumeraty, dla uniknięcia częstych dotąd nieporozumień.

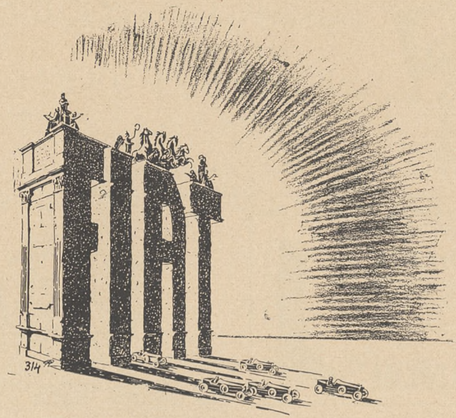
Prenumeratę należy opłacić z góry. Urząd pocztowy wymaga podania zgóry dokładnej liczby prenumeratorów.

Zaleganie z opłatą przynosi straty wydawnictwu.

A zatem czy to miesięcznie, czy kwartalnie, czy za pół roku, należy nadsyłać pieniądze przed 1-ym. W każdym numerze zaznaczamy dlatego, że: „Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy (jak za pojedyńcze) po 1 zł.“

Do jednego z numerów czerwcowych załączymy przekaz P. K. O. Prosimy uprzejmie o natychmiastowe odnowienie prenumeraty.

Administracja „Łowca Polskiego“.


FIAT

DO SZANOWNYCH P. PRENUMERATORÓW.

Prosimy uprzejmie Szanownych Czytelników „Łowca Polskiego" o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu trzech tygodni od daty wyjścia danego numeru.

HOTEL EUROPEJSKI

W WARSZAWIE

POLECA 250 POKOI NOWOCZEŚNIE URZĄDZONYCH.

WYKWINTNA RESTAURACJA i KAWIARNIA.

CODZIENNIE KONCERT DOBOROWEJ ORKIESTRY.

OAZA

WARSZAWA
ul. WIERZBOWA 9

WYKWINTNA
RESTAURACJA

DANCING
GABINETY

TELEFON 154-81.

RESTAURACJA

W. MÜLLERA

GMACH TEATRU WIELKIEGO
(NARODOWEGO)

TELEFON 5-21

Kuchnia wytworna

Gabinety towarzyskie

CUKIERNIA

ZIEMIAŃSKA

MAZOWIECKA 12

WARSZAWA

HOTEL POLONIA — PALACE

WARSZAWA

WPROST DWORCA GŁÓWNEGO

Tramwaje elektryczne we wszystkich kierunkach. 160 pokojów, ogrzewanie centralne, światło elektryczne, windy, pokoje kąpielowe. Woda bieżąca zimna i gorąca, zegary elektryczne, sygnalizacja świetlna zamiast dzwonków, telefony w każdym pokoju.

Czytelnia zaopatrzona w dzienniki i ilustracje krajowe i zagraniczne.

PIERWSZORZĘDNE: KAWIARNIA, RESTAURACJA I DANCING.

RESTAURACJA HOTELU SASKIEGO

Warszawa, Kozia 3 (Krakowskie Przedmieście 33)

W roku 1927 gruntownie przerobiona, urządzona stylowo. Poleca się z dobrą kuchnią.

Zakład otwarty do 3-ej rano.



SKŁAD FORTEPIANÓW

GEBETHNER i S-KA

WARSZAWA

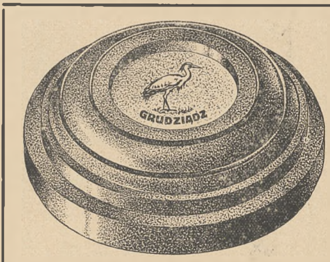
KRAKOWSKIE - PRZEDMIEŚCIE 17

ODSTRZAŁU ROGACZY

POSZUKUJĘ

ZGŁOSZENIA NADSYŁAĆ POD

WOYTKOWSKI: MIN. SPRAW ZAGRANICZNYCH.



RZUTKI marki CZAPLA

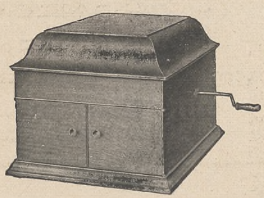
do strzelań myśliwskich przedniej jakości, poleca Fabryka rzutek asfaltowych.

ST. CZAPCZYK

W GRUDZIĄDZU (Pomorze)

ul. Sienkiewicza 7 Telefon 315

Proszę uważać na znak ochronny.



Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z **ustępstwem 15 % dla prenumeratorów** „Łowca Polskiego":

Głuszec, monografja Bolesława Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Prawo Łowieckie z komentarzami — J. Ejsmonda i St. Błonarowicza — 1,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Sztuka wymyślania — Juljana Ejsmonda — 4, 80 zł.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego

zeszyt 2-gi —	2.50 zł.
„ 4 —	50 „
„ 5 —	1,00 „
„ 6 —	2,00 „
„ 7 —	2,00 „

Żubr — Jana Sztolcmana — 3,30 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

W sercu kniei — d-ra Stanisława Zaborowskiego — część I — 1,00 zł.

Nad Nilem Niebieskim — Jana Sztolcmana — 6,00 zł.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

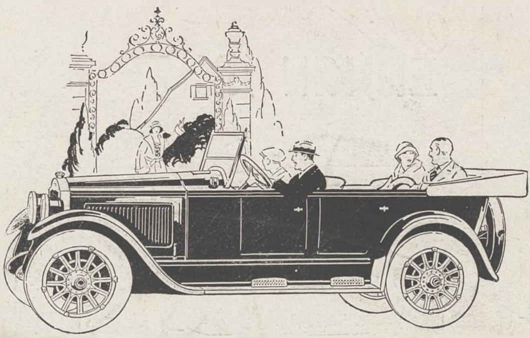
Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.


Studebaker
ERSKIN SIX

Samochody

Buick

Wytworne, modne i poszukiwane na całym świecie



Praktyczne, trwałe i niedrogie samochody osobowe i ciężarowe

CHEVROLET

Wyrobu: „General Motors Company"

Przedstawicielstwo

„ELIBOR"

Sp. Akc. Handlowo - Przemysłowa Ł. J. Borkowski

Warszawa, Pl. Napoleona № 1. Tel. 168-70; 279-16; 123-60

Prosimy odwiedzić nasz salon wystawowy

Zakł. Druk. P. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.